

Dolar w Warszawie
5.185

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie w Łodzi	złotych	1.85
" " kraju	"	2.50
" " zagranicą	"	4.00

Odnośnienie do domu 15 groszy miesięcznie „Kurier Wieczorny” łącznie z „Głosem Polskim”, wraz z odnośnieniem 4.80 złotych miesięcznie.

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska nr. 106
Telefon nr. 7-99.

rych jedno z rodziców, lub obo-
sa znani.

Język „pieronów”.

Trójniewola pozostawiła troja-ki ślad i na plecach i na duszy polskiej. Pozostali nam także ślady na języku — i to nie tylko od całowania ukrwawionych łap, ale od naleciałości obcych języków, przy pomocy których trójca austriacko-rosyjsko-niemiecka usiłowała pozbawić nas mowy ojczy-stej, słuchu, wzroku, powonienia i dotyku, wszystkich zmysłów, nie wyłączając intuicji.

Najbardziej ucierpiał na tem zabór niemiecki. Halkatyści umieli „vaterlandować” polaków. Nawet za modlitwę w języku polskim — otrzymywali dzieci polskie różgi krwawące. I ta biedna „polnische Schwein” — zaczęła sobie wykrzywiać mowę własną w sposób tragikomiczny. Do dziś dnia, mimo, że zmora „Deutschland über alles” — już przestała nad nami ciążyć — biedne nasze poznania-ki i pomorząki, klnąc od ucha do ucha na nutę „pieronu Kantego”, nie nauczyli się jeszcze mówić czysto po polsku. I pewnie sporo czasu upłynie zanim nasze „pie-rony” wypłyną resztki niemieczy-ny wraz ze śliną zaprawianą pi-
wem.

Oto próbki (Muster ohne Wert) — przedstawiające wartość nie tyl-ko dla humorysty z „Bożej łaski”, ale dla „braci polaków” z byłych zaborów polakożerczych.

W „Gazecie Bydgoskiej” wy-czytałem niedawno „ostrzeżenie” w którym poszkodowany, niejaki Juliusz Wegener, skarżąc się na to, że wylew Wisły zabrał mu sporo materiałów budowlanych ze składnicy, obwieszcza dosłow-
nie, że:

„Łowienie nadpływających materiałów nie jest tylko do-
zwolone, ale nawet powinno-
ścią każdego. Za wynurto-
wanie takowych płaci się wynag-
rodzenie podług przewidy-
wanych przepisów”.

Also sprach..... jakiś mój rodak z Bydgoszczy. I tak to drukuje redakcja polskiego pisma, które

powinnoby dbać przynajmniej o styl gramatyczny.

Jeśli nasz „pieron” powiada, że dał koszulę z gorsem do prania tam „gdzie uszywniają przodki” — nikt temu się w Poznaniu nie dziwi, tak samo, jak „nie dziwi się” nikt temu, że w takiej Byd-goszczy mówią prawie wyłącz-
nie po niemiecku rdzenni polacy (ciesz się Bismarku). Nie ulega wątpliwości, że mowa Getego i Szillera jest piękna (nie zawsze), ale skoro uznajemy podział języ-
kowy, polityczny i państwowy — to co tam kogoś tam musi obowia-
zywać.

Biedny „pieron” powiada: „ja mam głód”. Bo nie zdażył się przyzwyczaić do powiedzenia: „jestem głodny”.

Smutny „pieron”, poprawiając dach słomiany od tylnej strony i zatykając go pakulami lnianymi, na pytanie: co robi? — odpo-
wiada:

„Miałem ta trochę kłaków na zadku, ale mi je wyrwali”.

Albo to powtarzanie niemieckie-go: „ja, ja” (jo-jo) zamiast: „tak, tak...”. Albo bezustanne wtra-
canie „nie prawdaż” (nicht Wahr?), albo nad-używanie try-
bu bezokolicznikowego: „mó-
wione, robione” i t. d.

Przykładów można namnożyć bez liku.

Powstałe pytanie: kiedyż do Poznania, Bydgoszczy, Torunia i t. d. dotrze język Żeromskich, Reymontów i Strugów? Kiedy pisma tameczne przestaną gor-
szyć niemiecką polszczyznę (czy polską niemieczną) nowe dora-
stające pokolenie, któremu już przestali śpiewać „Wacht am Rhein”.

Ministerstwo oświaty powinno do byłej dzielnicy pruskiej rzucić polonistów, którzy nie zapom-
nieli jeszcze mówić po polsku, aby wyrwali z ust „pieronów” ten tragikomiczny „Volapük”, świadczący o tem, że nam nie-
wola przez usta wylazi i wyjdzie
nie może

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski

Umierający Konstantynopol.

Konstantynopol upada coraz bardziej pod każdym względem, tak, iż ze wszystkich stron — również i w Turcji — słychać za-
pytanie: Jaka będzie przyszłość tego dawniej olbrzymiego miasta? Czyż istotnie skazane jest na za-
gładę?

Konstantynopol jest miastem bardzo wielkiem, położonem na obu brzegach „Złotego Rogu” i według europejskich zapatrwań miastem przedwstynowanym do te-
go, że stolicą tureckiego pań-
stwa. Jedynym owoż turecycy nacio-
naliści zniechędzili Konstantyno-
pol za to, że miasto to było obsa-
dzone przez trzy lata przez obce
wojska i że element muzułmański
musiał tam znosić różne upokor-
zenia. Ten fakt odebrał Konstan-
tynopolowi jego polityczne zna-
czenie i zdegradował do roli pro-
wincjonalnego miasta, którem rza-
dzi Angora. W starej stolicy nie
ważnego stać się nie może bez
zgody i pozwolenia Angory.

Fakt, że Konstantynopol przy-
tem upada także gospodarczo, nie
interesnie zupełnie ultraszowini-
stów angorskich, nienawidzących
wszystkiego co obce.

Jeżeli bezzwłocznie nie zosta-
na przewidziane pewne środki
w celu odwrócenia używania portu
konstantynopolskiego, to przy-

szłość miasta nad Bosforem przed-
stawia się wcale nie różowo. Na
drodze morskiej do Czarnego mo-
rza Konstantynopol jest ważną sta-
cją pomiędzy Pireusem i Odessa. Jeżeli komunikacja okretowa i
handlowa będzie na tej stacji do-
wala wciążyć trudności, to wów-
czas kupcy będą ponorstu przebie-
żali przez cieśninę, nie zatrzy-
mując się u wybrzeży „Złotego
Rogu”. W razie gdyby Rosja so-
wiecka ziała przychylniejsza po-
stawie wobec morskiego ruchu
handlowego, to Odessa stałaby
się poważną konkurencją dla Kon-
stantynopola.

Port konstantynopolański przez
wprowadzenie wysokich podatk.
od wszystkich produktów potrzeb-
nych w porcie, stał się o wiele
droższym od Pireusu, albo Ale-
ksandrii.

Najniebezpieczniejszym konku-
rentem Konstantynopola jest Pi-
reus. Liczni wygnani z Turcji gre-
cy osiedlili się w portach greckich
i praca teraz usilnie nad stworze-
niem sobie nowej egzystencji.

Port Pireus jest przepelniony —
port w Konstantynopolu świeci
puszki. Rząd ateński robi wszy-
stko co możliwe, aby przywabić
cały ruch europejski do Pireusu.
A Angora praca nad zruinowa-
niem portu i miasta Konstantyno-
pola.

Straszną noc w norwe- skim fjordzie.

Gdy okret tonie. — Potworne sceny.
Matka oszalała z rozpaczy.

W zachodnim fjordzie koło Lo-
foden w Norwegii przed kilku
dniami w nocy nastąpiło zderze-
nie okretów, które, jak dotych-
czas stwierdzić zdołano, pociąg-
nęło za sobą śmierć 18 osób.

Parowiec pospieszny „Haakon
Jarne” i „Kong-Harald” najecha-
ły na siebie nocą w czasie mgły,
skutkiem czego okret „Haakon
Jarne” w przeciągu ośmiu minut
został zatopiony.

Dzienniki norweskie podają na-
stępujące szczegóły o tej straszi-
wej katastrofie:

W chwili, gdy nastąpiło zderze-
nie, w powietrzu panowała zupeł-
na cisza, nie powiewał najmniejszy
wiaterek, a fjord zachodni był
gładki, jak tafla zwierciadła.

W powietrzu jednakże wisiała
gęsta mgła. Parowiec „Haakon
Jarne” jechał z Bodø w kierunku
wyspy Landegode. Na wyspie tej
znajduje się wielka latarnia Egge-
lösa.

Zderzenie obu statków nastąpi-
ło w odległości niecałej mili na
północ od Eggelösa.

Gdy o godz. 1 w nocy oba okre-
ty wpadły na siebie, większość
pasażerów, pogrążonych we śnie,
spoczywała w kajutach. Przeraże-
ni wstrząśnieniem, zaczęli pasaże-
rowie, służba i załoga uciekać na
pokład. Mało który z nich był
ubrany. Z początku pasażerowie
zachowywali się spokojnie, kiedy
jednak okret zaczął tonąć, powsta-
ła wielka panika i zaczęły się roz-
grywać ścinające krew w żyłach
sceny.

Jedna z łodzi ratunkowych zo-
stała przy zderzeniu kompletnie
zniszczona, druga łódź z powodu
zbyt silnego naporu przewróciła
się i pasażerowie wpadli do wo-
dy. Część zatonała, pozostali
uratowali załoga statku „Kong-
Harald”. Ci z pośród pasażerów
tonacego okretu, którzy nie mogli
się dostać do łodzi ratunkowych,
musieli skakać do wody w pasach
ratunkowych, albo też i bez nich.

Najdramatyczniejsze wrażenie
robiła pewna matka, która chcie-
ła uratować swoje dzieci. Kurczo-
wo trzymała się liny. Wołano na
nią, aby skoczyła do wody, ale
przerażenie tak odebrało jej przy-
tomność umysłową, że odważyła
się puścić liny. Grozą przejmują-
ce krzyki dały się słyszeć, gdy
okret zatonał, pociągając za sobą
biedną matkę i dzieci w głąb
morza.

Inna matka z dzieckiem na ręku
walczyła przez dłuższy czas z fa-
lam, aż wreszcie wśród nich
zniknęła. Sytuacja była tego ro-
dzaju, że wprost za cudo uważać
należy, iż tylko kilkanaście osób
straciło życie.

Kapitan statku „Haakon Jarne”
jako ostatni opuścił okret. Sko-
czył on z pomostu do wody, w
której utrzymywał się przez kwa-
drans na powierzchni wody, dopóki
go nie wzięto na pokład ratun-
kowego statku.

Nowy tramwaj o auto- matycznych drzwiach.

W Londynie puszczono w ruch
na niektórych liniach tramwajo-
wych nowe wozy zaopatrzone w
automatyczne przyrządy do zamy-
kania i otwierania drzwi.

Z chwilą gdy wacon staje kon-
duktor za podniesieniem lewara
otwiera drzwi tramwaju i spus-
zcza stopnie. Przed puszczeniem
wozu w ruch drugi ruch lewara
zamyka z powrotem drzwi i zwi-
sza stopnie.

Należy jeszcze nadmienić, że
przyrząd ten jest tak skonstruo-
wany, iż przy drzwiach otwar-
tych i spuszczonej stopniach,
tramwaj nie może ruszyć z miej-
sca.

Zapewnia to zupełne bezpieczeń-
stwo pasażerom. Wskakiwanie i
wyskakiwanie w biegu jest wy-
kluczone, ponieważ tramwaj w
ruchu jest zawsze zamknięty.

Romans królowej.

Namiętności ludzkie w cieniu tronów. — Maskarada na
placu Sw. Piotra w Rzymie. — Małżeństwo. — Nuda przyjęć
dworskich. — Śmierć księcia Alberta. — Disraeli i Gladston.

Zwieniv w epoce rozczarowań
i bezustannego przewartościowa-
nia ideałów.

Bohaterskie postacie, rozpalają-
ce fantazje i uwielbienie naszych
lat młodocianych, chcemy oglą-
dać w ich powszedniości ludzkiej,
w ich zabiegach i kłopotach co-
dziennych. Aureola wielkości i
maiestatu otaczała dawniej i po-
staci monarchów.

Wielka woja światowa, druz-
gocząc najpotężniejsze trony Eu-
ropy, wydobyla na jaw mnóstwo
szczegółów z prywatnego życia
domów monarszych, wykazując
jednocześnie, iż maiestat tronu
nie chroni od ułomności i słabo-
ści ludzkich.

Nielicznych królów, zachowują-
cych etykiety monarsza, ogladamy
jak okaz muzealny lub ciekawe
widerowisko.

Pamiętam swoje wrażenie z po-
bytu króla hiszpańskiego w Rzy-
mie. Potomek rodu Burbonów,
władca tronu, otoczonego najwie-
kszą etykietą, jechał w odwiedziny
do władcy kościoła — panie-
ża. Aksamiłne czarne żupan
dworaków, złote łańcuchy, białe
muslinowe krezy, nadające gło-
wie sztywność i nieruchomość
(jako na obrazach Van Dycka),
koronkowe mantyle dam dworu,
uszminkowane twarze, chwiejące
się w miarow takt białe czuby
kit końskich, automatycznie po-
dług ceremoniału, kłaniające się
król — wszystko to czyniło
wprost nierealne wrażenie. Do-
pinał w całości operetkowe ko-
stiumy gwardii włoskiej i bez
przerwy grająca muzyka. To nie
była nerwowa współczesna rze-
czwistość, lecz niewydan
przez autora któryś akt opery
Carmen lub Torreador.

Te pozostałe chińskie cienie
przeszłości, mniej lub więcej ciek-
awe, odgrzywaia rolę królów —
statystów, podczas gdy proces de-
mokratyzacji ogarnia wszystkie
kraje. Pomimo ustroju monar-
chicznego, uległa mu i Anglia. Lu-
bowała się ona w monarchiach i
w tragediach Szekspira zawsze
jest król i blazen — król ma ko-
ronę, blazen rozum.

Teraz powoli, z należytym re-
spektem (pisarze angielscy nie
grzeszą zgrzytliwością, dowodem
Swift i Wilde) zaczyna tam wy-
smiewać swych działów z epoki
Reform Bill.

Był to okres największej pote-
gi i bogactwa, lecz współczesny,
trzęsący anglik z pewną ironią
patrzy na romantyczny sentymen-
talizm Byrona i na politykę epo-
ki wiktoriańskiej, podszwta mi-
stycznymi metodyzmem.

Niedawno wiele hałasu narobi-
ła książka angielskiego pisarza
Lytton Stracheya p. t. „Eminent
Victorians”.

Z duża erudycją rzutami iasny-
mi, nie bez pewnego humoru, kre-
śli autor dzieje królowej Wiktorii
i jej dworu. Zaczyna od dzieciń-
stwa królowej, prowadzi ją przez
różne momenty psychologiczne:
polityczne i rodzinne, aż do póź-
niej śmierci, opromienionej wiel-
kością imperium. Przytacza fak-
ty słowa, w których odsłania się
słabość kobiet, lub błąd energia
charakteru i poczucie godności
monarszej.

Indywidualność Wiktorii zarzu-
sowuje się już we wczesnej mło-
dości. Mała lat 18 poraz pierw-
szy wchodzi na zgromadzenie lor-
dów. Drobna blondynka, biała,
różowa, ubrana skromnie, pełna
miewinności i przedwczesnej no-
wagi, z nadzwyczajną godnością,
wysłuchuje napuszczonych mów lor-
dów.

Po skończonej ceremonii obla-
wia że sama chce reprezentować
państwo i wśród entuzjazmu tłu-
mu, poważna i skromna, opusz-
cza parlament.

Przechodzi lata wtajemnicze-
nia w sprawy państwowe. Lord
Melbourn, swola dobroduszo-
ścią, osadza te pierwsze ciężkie
obowiązk.

Lata szczęśliwe. Żadnej wojny
na horyzoncie, miłość ludu i mał-

żeństwo z człowiekiem kocha-
nym. Książę Albert Koburski zo-
stał jej mężem, bez praw do tro-
nu, przyjmując tytuł ks. Walii.

Jako dzieci kochali się już na
zamku Windsorskim. Lecz cha-
raktery obojga różnią się nieco.

Królowa kocha życie dworskie,
gwar, zabawę: książę, charakte-
ru flegmatycznego, ma upodoba-
nia sielskie i trochę artystyczne.
Podczas gdy Wiktorii bawi się i
tańczy, książę, zasunietv w gło-
bokim fotelu, marzy o rodzin-
nych lasach Koburgów, gra Men-
delsohna lub zaimuje się malar-
stwem.

Pomimo różnic charakteru, ko-
chała się bardzo. Praca zgod-
nie razem, dzieląc wspólnie tru-
dy monarsze. W pierwszych la-
tach panowania Wiktorii była za-
zdrosna nieco o władzę królew-
ską.

Pewnego dnia, po jakimś
sprzeczce, książę zagniewany,
zamknął się w swym pokoju.

Nadasana królowa buka do
drzwi — Kto tam? — Ota książ-
że, — Królowa Anglii! — brzmi
odpowiedź. Cisza. Zmierzchni-
wiona Wiktorii buka powtórnie.
To samo pytanie i taż sama od-
powiedź, i tak wiele, wiele razy.
W końcu, po długim milczeniu,
znowu pukanie. — Kto tam? —
Ota książę. — Twoja żona, Al-
bercie! — skromnie odpowiada
królowa. I drzwi zostały natych-
miast otwarte. Kobieta zwycię-
żyła królowa!

Na przyjęciach dworskich kró-
lowa nakazała najsurowsza ety-
kiety, zabroniła palić ku wszelkie-
mu niezadowolenu lordów. W o-
becności królowej nie wolno by-
ło siadać: osoby dopuszczane na
przejęcia ustawiano w półkole i
królowa zaszczycła każdego pa-
rona słowem. — Czy pan jeździł
dziś konno, lordzie Greville? —
Nie, jej królewską mość. — Mi-
czenie. Piękna pogoda mamy dzi-
siaj, prawda lordzie Greville? —
Tak, wasza królewską mość, pie-
kna. — Chociaż jest nieco chłod-
no — dorzuca królowa. — Zaiste
trochę chłodno, wasza królew-
ską mość. — Uśmiech, lekkie ski-
nienie głów, rozmowa skończona.
Wobec takiej etykiety przyję-
cia królowej bywały komiczno-
nudne.

Obdarzona charakterem gwał-
townym i despotycznym, królo-
wa w stosunku do swych premie-
rów, rzadziła się osobistymi sym-
patiami.

Umiera książę Albert, królowa
jest niepokieszona. Chwile zapom-
nienia dała jej towarzystwo, ge-
nialnego polityka i sławnego po-
wieszczipisarza lorda Beacon-
sfielda (z rodu niemieckich ży-
dów Disraeli). Po śmierci lorda
Beaconsfielda zjawia się na dwo-
rze lord Gladston, polityk - kon-
serwatysta.

Królowa nie sympatyzuje z nim
zbyt, nie lubi jego mistycznej
admiracji. Lord Gladston przypy-
sował pochodzenie boskie monar-
chom i uważał królowa, jako zia-
wisko nadziemskie.

W smutku wdowieństwa z ca-
łym zapalem oddaje się sprawom
państwowym. Przechowując na-
mnie małżonka - doradcę, prowa-
dzi politykę mądra i roztropna
Sa to najsławniejsze lata jej pa-
nowania. W gronie licznych dzie-
ci, otoczona pamiętkami po zmar-
łym księciu, żyje wspomnieniami
przeszłości. Nie dale zmienić
obię na ścianach, gdzie żył „on”,
portretv księcia pod rozmaitemi
postaciami zapełniała jej aparta-
menty.

Zamiera w uśmiechu przeży-
wać chwil, w których kochali się
oboje.

Tak więc królowa, posiadająca
w swej koronie tajemnicze Indie
wraz z ich bogactwem; gdy zra-
niła ją cierpienie, szukała pocie-
chy i ulgi nie w czarodzieistwie
swej potęgi, ale tam, gdzie ich
szuka proste serce ubożego czło-
wieka: w świecie złudzenia i pa-
miatek.

J. K.

GRADZEN NIESIE

CZERWIEC

30

Poniedziałek

Przez: Lucyna M.
Jutro: Teodoryka

Wschód słońca 5.18
Zachód słońca 7.0
Wschód księżyca 0.07 pm
Zachód księżyca 6.55 pm
Długość dnia 13.41 m
Użyto dnia 0.02 m.

Biblioteka Publiczna, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.

Miejska galeria sztuki, park im. Sienkiewicza zbiorowa wystawa malarstwa, grafiki i rzeźby (otwarta od 10 r. do 8).

Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6 — 8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska.

Teatr Miejski

„300 kilometrów na godzinę” i „Lekarz mimowoli” w parku Staszica; „Handel na żony”.

Teatr Popularny:

„Droga do piekła”.

Teatr letni „Scala” w ogródku

Variete.

„Casino”:

„Taniec złota i nędzy”.

„Luna”:

„U progu gilotyny”.

„Odeon”:

„Karuzela życia”.

„Grand-Kino”:

„Zakazane miasto”.

Kino współdz. pracown.

państwowych:

„Umierające narody”.

i seria p. t. „Iskra Nienawiści”.

„Nowości”:

„Ognista akrobatka”.

Kąpiele powietrzne.

Powietrze i światło hartują wiec. niż woda. Najbardziej zahartowani są marynarze, którzy wciąż przebywają na świeżym powietrzu. Kąpiele powietrzne jest nie tylko znakomitą środkiem hartującym, ale także dzielnym sprzymierzeńcem w walce z chorobami nerwowymi. Ogólny stan się poprawia, apetyt powraca, sen staje się spokojny, energia się wzmacnia. Ale nie trzeba nadużywać. Na początek 10 minut wystarczy. Najlepiej zacząć na wiosnę. Krótkie powietrzne kąpiele przy chłodnej pogodzie są bardzo przyjemne, podczas gdy nie wszyscy znoszą kąpiele słoneczne. Najlepsze godziny są ranne. Głowa i kark należy osłonić dużym kapeluszem. Przy ciepłej pogodzie można stosować przysłanie, a potem spacer. Nie mając specjalnych urządzeń, można sobie zrobić kąpiele powietrzne w altanie ogrodowej, a jeżeli i tego nie ma, to w pokoju. Zarazem można zrobić trochę gimnastyki, ruchy głowy, rekami, obroty korpusu, zginanie kolan etc., a także ćwiczenia z hantlami. Ćwiczenia trzeba robić powoli, strzec się przemęczenia.

HUMOR ZAGRANICZNY.

Ironiczna.

Ona. — Mówia, że głupota daje szczęście, jak pan sądzi?

Ona. — Nie wiem, ale pan nie ma miły nieszczęśliwego!.

Wierzytel.

— Już mam dosyć tego wspinać się na czwarte piętro! Upominam się, upominam się...

Uspokój się, od jutra będę mieszkał na parterze!

W więzieniu.

— Co powie twoja biedna żona, gdy cię tu zobaczy?

— Należy powiedzieć: „moje biedne żono! Siedzę za biganię”.

Jedyna rada.

Znakomity lekarz Neusser, który nie należał do umiarkowanych i nie lubił długich rozmów, opowiada, że posiadał kiedyś pacjentkę, która nie dawała mu doświadczenia.

Zyzykowany Neusser rzekł tedy do niej: — Niech mi pani pokaże język!

A gdy pacjentka uczyniła to, dodał: — A teraz niech pani tak długo siedzi z językiem w ustach, dopóki ja nie skończę mówić! (Matin).

O pracę dla bezrobotnych.

Żywotowe manifestacje robotniczej Łodzi, jakich byliśmy świadkami w sobotę, ocuciły nie- co nasze władze komunalne i ka- zały im wreszcie zająć się tą spra- wą nieco energiczniej.

Fakt, iż dopiero 17 b. m. magi- strat łódzki przez posta Michała- ka wręczył rządowi memoriał z za- daniem funduszu dla bezro- botnych, bardzo źle świadczy o naszym magistracie.

W Zduńskiej Woli i Pabiani- ach magistrat otrzymał już przed dwoma tygodniami fundu- sze i wydał produkty bezrobot- nym oraz rozpoczął roboty pu- bliczne.

Magistrat łódzki zaniedbał tą sprawę zupełnie, zaprzatnawszy sobie głowę pragmatyką służbo- wa urzędników miejskich, która chciała przeferować jeszcze przed feriami radę miejskiej.

Na przeszkolzie stanął magi- stratowi konwent seniorów, któ- ry sprawę tę odroczył i naraził ruzi partynie w magistracie usta- nowi miejsca sprawie bezrobot- nych.

Chyba żadne miasto w Polsce nie miało tyle do zrobienia, co Łódź, pozbawiona nie tylko bruków, ale najprawniejszych urządzeń kanalizacyjnych i wodociągo- wych.

Pównież sprawa budowy kolei Łódź — Tomaszów utknęła na martwym punkcie i magistrat zbyt słabo interesuje się tą kwe- stią pierwszorzędnej wagi.

Należy bezwzględnie ostrażać się z tej „piaczki”, przebrukować ulice, rozpocząć budowę kanali- zacji, oraz kolei Łódź — Toma- szów, a wówczas sprawa bezro- botnia sama się rozwiąże.

Żywotne interesy lokatorów

Znamienna rezolucja wiecu w Warszawie.

Od dnia jutrzejszego zaczyna obowiązywać nowa ustawa o ochronie lokatorów. W związku z tem w dniu wczorajszym odbył się w Warszawie wielki wiec lokatorów i sublokatorów, na któ- rym obecnych było około 2-ch tysięcy ludzi.

Po przeprowadzeniu obszernej dyskusji przyjęto następującą, bardzo doniosłą rezolucję:

„1) Zebrani na wiecu lokatorów i sublokatorów stwierdzają:

a) że ustawa o ochronie loka- torów, mająca uregulować stosunki mieszkaniowe pomiędzy loka- torami i właścicielami domów przy zatargach na tle mieszkaniowym, interpretowane jest dowolnie, wed- ług „widzimisie” czynników wy- mierzających sprawiedliwość,

przez co wytwarza się i potęguje chaos, z krzywdą dla lokatorów;

b) że przepisy, związane z usta- wą o ochronie lokatorów,

wykazy w bramach domów o wy- sokości komornego i świadczeń, są zupełnie ignorowane,

wobec czego zebrani kategorycz- nie protestują przeciw temu i do- magają się od naczelnych władz (m.in. sprawiedliwości i spraw we- wnętrzych) wydania odpowied- nych zarządzeń, normujących sto- sunki pomiędzy lokatorami i wła- ściicielami domów, zgodnie z prze- pisami ustawy o ochronie loka- torów.

2) Zebrani z zadowoleniem przyjmują do wiadomości o- nabyciu przez powszechny zwią- zek lokatorów i sublokatorów Rze-

czypospolitej polskiej łącznie z in- nymi instytucjami społecznymi większości akcji banku budowl- nego, a przez to — przejście tej in- stytucji w ręce organizacji spo- łecznych,

gdyż wierzą, iż tylko w ten spo- sób palaca sprawa budowy mie- szkań może wejść na właściwą drogę.

Wobec powyższego — wyrażają uznanie zarządowi głównemu po- wszechnego związku lokatorów i sublokatorów za trudną pracę w tej sprawie i oświadczają całko- wite swe poparcie zarówno moral- ne jak i materialne.

3) Wobec tego, że władze komunalne zupełnie igno- rują sprawy uregulowania nale- żności od lokatorów za świadcze- nia (wode, kanaly itp.), zebrani domagają się kategorycznej zma- ny pod tym względem

i wzywają m.in. spraw wewnętrz- nych, do którego należy nadzór nad organami samorządowymi, aby dokonało rewizji gospodarki magistratu w kwestii mieszkań- wej i uchyliło bezprawne zarzą- dzenia magistratu oraz aby spra- widziło wysokość poborów przez magistrat od lokatorów.

4) Zebrani domagają się,

by we wszystkich stalach i cza- sowych instytucjach, jak urząd roziemczw i komisje, zorganizowa- ne przez magistrat przedstawici- ele lokatorów byli dopuszczeni do udziału w nich z prawem głosu.

Krwawe bójkę dozorców o mieszkanie.

Interwencja policji i pogotowia.

(8) Ulica Lipowa była onegdaj widownią awantury, która roze- grała się w domu pod nr. 12, po- między dwoma dozorcami tegoż domu.

We wspomnianym domu pełnił funkcję mistrza miotły od paru lat niejaki Aizenberg, zamieszkał z żoną ponurą i wilgotną su- terynę.

Pewnego dnia, a było to przed Wielkanocą, dozorca A. pokłócił się z gospodarzem Berkmanem, który wymógł mu pracę.

Na jego miejsce właściciel do- mu przyjął nowego dozorcę, nie- jakiego Krwisiaka Franciszka, któ- remu dał tymczasowy dach nad głową w małej komóreczce, pozba- wionej całkiem dachu, a tylko na- krytej workami.

Po tygodniu nowoprzyjeźdy dozorca miał otrzymać mieszkanie starego dozorcę, t. i. wspomnia- ną suterynę.

Czas upływał a dozorca A. nie wyprowadzał się, tłumacząc że dopiero wówczas, gdy gospodarz mu odda należne 120 milion, wróci, opuści suterynę.

Upłynęło kilka tygodni. Przy- szły ulewne deszcze: cały doby- tek Krwisiaka tonął w wodzie. Wi- dząc to dozorca K. udał się z pro- śbą do „kolegi po fachu”, prosząc żonę kolegi, by mu pozwoliła przynieść do suteryny pierzyny podczas deszczu.

Żona dozorcę A. zgodziła się i przyrzekała Krwisiakowi, że może przynieść pościel wrazie deszczu, oświadczając jednocześnie, że maż jej nie zgodził się na to.

Gdy onegdaj wieczorem lunął wielki deszcz, dozorca K. zabrał pierzyny i udał się do suteryny swego poprzednika, pozostawia- jąc swe mienie pod opieką Aizen- bergowej, gdyż kolegi nie zastał w domu.

Niebawem nadszedł przedstawi- ciel miotły A., a widząc obce pier- zyny w swym domu, zdenerwo- wał się i powyrzucał je na mokre podwórko, obrzucając „kolego po fachu” różnymi wyzwiskami.

Ale dozorca K. nie dał sobie, jak to mówią, w kasze dmuchać, i odpo- wiedział podobnymi słówkami, z czego wzięła się poważna aw- antura, ponieważ panowie dozorcę, chwycili za miotły i łom- y, jako najbardziej przekonujące argumenty.

Zawezwana policja 7-go komi- sariatu zlikwidowała krwawą bój- kę, sprowadzając następnie pogo- towie ratunkowe, którego lekarz udzielił pobitym dozorcóm, oraz pokolezionej żonie dozorcę A. po- moc.

Spisany protokół przesłano do sądu pokoju w celu ukarania win- nych.

FELJETONIK SĄDOWY.

WSZYSTO PLYNIE...

Ulica Zawadzka. Południe... Turkot i gwar, spotęgowany przez szum i zgrzyt maszyn fabrycznych. Przechodnie popychają się nawzajem, spiesząc do swoich zajęć; wszyscy od- bywa się w jakimś gorączkowym na- preżeniu...

Zbliża się godzina obiadowa. Gwar cichnie, milkną maszyny, usta- je turkot ciężarowych wozów; rzadka tylko głos przekupniaś „5 sztuk za mi- lion, 5 sztuk za milion” przerywa ogó- lną ciszę.

Ulica odpoczywa... Za węglem jednego z domów stoi mężczyzna w średnim wieku, z koszy- kiem w reku.

Wprawem okiem ocenia przecho- dników. Od czasu do czasu podchodzi do unatrzonej ofiary, zapyta się o coś, a gdy ten mu daje przychylną odpowiedź, wchodzi do bramy, portakutnia, słysząc targi, a po chwili wychodzi ów przecho- dzień niosąc pod pachą flaszkę, owinię- tą w papier.

Kupujący spieszy z zadowoleniem do domu, by pochwalić się przed żoną z zyskownie przeprowadzonej transakcji.

Bo przecież kupił za półtora miliona marek flaszkę litrową spirytusu, a wszak w sklepie żądała prawie, że no- rótniej ceny.

Przedwcześnie jest radość kupującego. Otwiera on w domu flaszkę, przeciera kieliszek chusteczką od nosa, nalewa pełen kieliszek wódki, wacha — lecz i- akos nie czuje.

Ale ma przecież katar; nareszcie prze- chyła kieliszek — lecz o zgrozo! — czyż miałby być pijany, a może z powo- du silnego kataru nie może wczuć smaku wody życia?

Przywołuje żonę, każe jej spróbować, lecz i ona jakoś nie czuje właściwego smaku.

Okazuje się, że nabywca został oszu- kany. Zamiast litrowej flaszki wódki, ma litrową flaszkę... czystej, studziennej wody.

Dopóty dzbani wode niesie, dopóki się ucho nie urwie...

Pan M. poznał na ulicy pomyslowego przekurka i oddał go w ręce policji...

...3 miesiące więzienia

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Zapoznali się w jakiejś podrzęd- nej knajpie na Bałutach i po nie- ściecznym obcowaniu ze sobą za- łożyli „spółkę z ograniczoną o- dpowiedzialnością”. Frankę był

specjalista rolnictwa sztucznych ściśków zaś Mundeł miał „fach” w reku. Spółka robiła dobre inte- resy, nie placąc prztem podatku obrotowego. Specjalnością ich by- ło „operowanie” w konduktach pogrzebowych. Zaczni przyjaciele

przylazali się do przechodzącego konduktu i udawali dobrych zna- iomych nieboszczyka. W międz- yczasie gdy jeden z nich wybrał już „burżuazję” i z nim rozmawiał o zasługach i żelwn nieboszczyka,

drugi rewidował kieszenie rozmawiającego i zabierał na pamiątkę portfel z pieniędzmi i zegarek, zresztą wszystko co wpadło pod rękę. Interes przez dłuższy czas się udawał, gdyż w Łodzi nie brak naiwnych. Jeżeli jednak ludzie nie chcieli umierać, to spółnicy uda- wali się na stacje kolejowe, z gło- również „interes” im się udawał.

Kalendarz podatkowy na lipiec.

W nadchodzącym miesiącu lip- cu przypada terminy płatności podatku gruntowego, podatku przemysłowego, dopłaty do świ- dektu przemysłowego, podatku dochodowego i wreszcie podatku majątkowego, a nadto wszystkich tych podatków, na które płatnicy otrzymują bądź otrzymali już na- kazy płatnicze z terminem płat- ności w lipcu.

Na podatek gruntowy ma być wpłacona pierwsza rata 100 proc.

Na mocy rozkazów władz poli- cyjnych bagnet, jako broń bocz- na, odięta została przodownikom stacyjnym i dzielnicowym. Jed- nie polecono zostawić bagnety przodownikom plutonowym. Po- została broń boczna w celu za- patrzenia i wszystkich posterun- kowych w tą broń, polecono prze- stać do intendur policyjnych, któ- re cały czas posiadanej broni bocznej rozdają pozostałym po- sterunkowym. (p)

Tom.

Życie i sąd.

Z czasem, gdy zarobili dużo pie- niedzów, obaj przyjaciele zaczęli dbać o pozory i elegancko się u- bierać. Gdy zdarzyła się okazja, to wzięli „fraiera” ze sobą i grali z nim skromnie w dziewiatkę.

Niewinna ta gra, kończyła się zwykle splukaniem klienta do nit ki dzięki „cudom”, jakie Mundeł czynił z prawdziwą wdową.

Nieszczęście chciało, że pewne- go dnia „operacja” się nie udała i Mundeł został schwytany na go- racym uczynku, gdy miał już port- fel w reku i zamierzał go sobie najsłodszej schować do kiesze- ni. Pechowy „operator” zmuszo- ny był ratować się ucieczką, by nie dostać się na dłuższy przymu- sowy odpoczynek, więc nie na- mawiając się, uderzył poszkodowa- nego nieścią w głowę, i korzysta- jąc, iż ten straciwszy przytom- ność, upadł na taktuar. Mundeł dał „noge” usiłując się dostać do tramwaju, by w ten sposób uciec nogami. Przechodząc przedwo- nik policji, zrozumiał, co się stało, zagroził Mundełowi uży- ciem broni palnej, w razie dalszej ucieczki, i gdy „fachowiec” przy- stanął, został aresztowany i od- prowadzony do komisariatu.

Badany, przetrwał się do kra- dzieży, tembardziej, że podczas osobistej rewizji znaleziono przy nim portfel z dowodem osobistym na nazwisko poszkodowanego.

Przybyły do muru wskazał Franka, jako swego współnika, po- dając jego adres.

Domyślny Franek, przypuszcza- jąc, iż przyjaciel go „wyspie” przenosił się do mieszkania swej kochanki, i u niej w mieszkaniu został aresztowany w noc z dnia 16 na 17 kwietnia. W komisariacie zeznał, iż Mundeł nie zna nawet z widzenia lecz został „demasko- wany” przez współnika, który zde- maskował go podczas konfronta- cji.

Sędziwa obu przestępstw była roz- strzygnięta przez sąd pokoju.

Sędziwo po naradzie, skazali Edmunda Berkowskiego i Franciszka Mundełaka na 3 miesiące wię- zienia.

las.

Historia bańki do mleka.

(b) Pewnego razu do sklepu bla- charskiego Tenenbauma wszedł jakiś pan i dał mu bańkę do mle- ka do naprawy.

Równocześnie pan ów oświadc- czył blacharzowi, iż do naprawie- nia może bańkę sprzedać za 20 milionów mk., a on któregoś dnia wejdzie po pieniądze i zapłaci mu prowizję.

Tenenbaum zgodził się i rze- czywiście pewnego dnia zgłosił się niejaki Pucher, który bańkę te kupił.

Przyjodek chciał, iż Pucher handlował mlekiem, kupionem u Kozanowskiego w mleczarni, któ- rą pewnego dnia stwierdził, iż owa bańka nosi jego firmę i zo- stała skradzioną.

Sprawa znalazła się w sądzie, gdzie Tenenbaum tłumaczył się, iż biorąc od nieznanego bańkę, nie wiedział, iż pochodzi ona z kradzieży.

Sąd skazał Tenenbaum na ty- dzień aresztu.

Broń boczna w policji.

Na mocy rozkazów władz poli- cyjnych bagnet, jako broń bocz- na, odięta została przodownikom stacyjnym i dzielnicowym. Jed- nie polecono zostawić bagnety przodownikom plutonowym. Po- została broń boczna w celu za-

Stosunki szkolne w Tarnopolu.

Interpelacja koła żydowskiego.

W Tarnopolu zdarzył się wypadek, który wzbudził całą opinię publiczną, co też znalazło swój wyraz w całym szeregu dzienników.

Do 3-ej klasy gimnazjum Wincenckiego Pola w Tarnopolu uczęszczał 12-letni Gałandzi. Ojciec jego ślusarz A. Gałandzi, otrzymał 26 listopada 1923 r. od dyrektora gimnazjum następujące zawiadomienie.

„Kuratorium Okręgu szkolnego we Lwowie wykluczyło syna pańskiego za ciężką obrazę religii katolickiej ze wszystkich szkół średnich tutejszego okręgu szkolnego, a równocześnie przedłożyło wniosek min. wyznań religijnych i ośw. publ. o rozszerzenie tego wykluczenia na całe państwo”.

Ministerstwo uznało za stosowne rzeczyć: — przychylić się do przedłożonego wniosku.

A jakież to okropne przestępstwo popełnił ten 12-letni zbrodniczy przepis proceduralny u żadnej instancji nie znalazł względów, czy łaski i został dotknięty tak drakońską, bo najwstrętniejszą karą, jaką w ogóle zna judykatura władz szkolnych?

Za przykładem innych dzieci szkolnych, podczas przerwy w nauce, Gałandzi kreślił na papierze różne litery, słowa lub figury i zakrywając papierem, kazał kolegom zgadywać, co napisał.

I tak w pewnej chwili nakreślił Gałandzi krzyż i nie mając przytem pojęcia, że krzyż jest symbolem, a już całkiem nie myśląc o obrazie religii — pokazał go swemu koledze Skubielskiemu do zgadywania. Skubielski nagle zagroził mu, że zaskarży go przed księdzem, Gałandzi, nie rozumiejąc przyczyn, zapytał się o co właściwie go chce zaskarżyć, na to Skubielski wyrwał mu kartkę z rysunkiem.

Istotnie Skubielski zaskarżył Gałandziego przed księdzem lub dyrektorem, bo nagle dyrektor Vogel uznał za stosowne — zrobić z tej niewinnej dziecinady aferę religijną. Nie dość na tem, chcąc widocznie za jednym zamachem przeprowadzić system odżydzania przez nieprzyjmowanie i wyrzucanie uczniów żydowskich i wywołać w zakładzie hece antysemitki — zaczął prowadzić wielkie śledztwo w sposób wybitnie tendencyjny i prowokatorski. Do śledztwa w ogóle nie, wezwano koлегów-żydów, lecz tylko uczniów nie-żydów, którzy nawet przy zajęciach nie byli i nie widzieli, i znowa pod sugestją i groźbą dyrektora.

Co więcej, podczas przesłuchania spotkał się Gałandzi — ku swemu zdziwieniu — z zarzutem, że na ten narysowany krzyż pluł i t. p. Tłumaczył się, że to wszystko nieprawda, że wszystko to jest zmyślenie i przedstawił cały przebieg sprawy. Tymczasem p. dyrektor kazał mu się przysiąc, wszyscy koledzy to już poświadczali — a z drugiej strony składali świadczących kolegów do podtwierdzenia tych okoliczności pod pozorem, że Gałandzi sam się już przysięgał do plucia itp. i pod groźbą, że w przeciwnym wypadku zostaną wyrzuceni. Tymi względami usprawiedliwił uczeń Tadeusz Kapestyński wobec Gałandziego swoje nieprawdziwe zeznanie.

Po tej prawdziwie pedagogicznej pracy p. dyrektor przedłożył konferencji nauczycielskiej wyniki śledztwa i uzyskał „aprobatę” na wykluczenie. Kuratorium lwowskie okazało się hojniejsze, a ministerstwo dzieło to ukoronowało.

Pomijając jednak merytoryczną stronę sprawy, to jest fakt, że w ogóle nie ma żadnego przewinienia, że popełniono justizmord i demoralizowano uczniów tendencyjnym i prowokacyjnym prowadzeniem śledztwa, to zachodzi pytanie, czy dziecko 12-letnie jest już tak świadome swych czynów, że ma być ukarane najsurowszą karą — śmiercią cywilną — jaką jest wykluczenie ze wszystkich szkół całego państwa.

Referent ministerstwa w ustnej odpowiedzi na interwencję poselską wyjaśnił, że stan faktyczny jest dla niego ustalony, skoro protokół jest podpisany przez wielu nauczycieli i nauczyciela religii mołeszowej, choć mu wyjaśniono, jak prowadzono śledztwo i że podpisujący nauczyciele w śledztwie nie uczestniczyli i tylko na ślepo pod naciskiem szefa konferencji nauczycielskiej wyrok potwierdziła. Ten sam referent cynicznie umotywował ten drakoński wyrok i gwałt dokonany na dziecku nie jako „karę” tylko jako „izolację”.

Wobec powyższego podpisani zapytują pp. prezesa rady ministrów i ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego:

- 1) czy sprawa powyższa jest im znana?
- 2) czy zamierzają spowodować zniesienie tej drakońskiej kary?
- 3) czy wydadzą odpowiednie pouczenie dla władz szkolnych?
- 4) czy zarządzą ponowne przeprowadzenie śledztwa przez delegata ministerstwa i ukaranie dyrektora za jego postępowanie?

Kosztowna miłość primadonny warszawskiej.

Wielkiej miary hochstapler potrafił nabrać doświadczoną artystkę „na miłość”.

Pan V., młodziak urodziwy, prawdopodobnie po wielu sukcesach swego sprytu na szerokim świecie zawiązał i do Warszawy. Stał tu w pierwszorzędnym hotelu i rozpoczął poznawanie się z reżensem V. wiedział, że polacy, a szczególnie polki lubią cudzoziemców, że im nadszakuje, że gotów był dla nich do wielkich poświęceń. Przecież musimy się go dnie prezentować nawet wobec iszustów i hochstaplerów międzynarodowych.

Piękny więc V. uposażony w paszport włoski i nieskazitelne włoskie nazwisko, prawdopodobnie z tytułem markiza mógł liczyć na pełne sukcesy i wszelkiego powodzenia w tak rozkosznej miasteczku jak Warszawa.

Ale V. był marzycielem, teskniał. W swych podróżach na wielkich szlakach europejskich, szczytował tam przez polskie, stał i stamtąd wyrzucany, gniebiony w więzieniach ten wielki hochstapler nie przestawał tesknąć.

Aż wreszcie tu, w Warszawie, ziszczył się jego złoty sen, skończył się jego tesknienie.

A było to tak. Znużony i rozbity moralnie za-

szedł do pierwszorzędnego dancingu. Wśród masy tańczących wirtuoznych par obłąanych kolorowym światłem reflektorów mignęła jedna ciekawa, wyblasiata się twarz kobiety.

Ach, to ona, to ta oddawna śnio na, marzona...

V. był do rzeczy: w ciągu tygodnia jego wymarzona była już jego tylko kochanka. Na mieście o tem zupełnie wyrażnie i ze szczegółami mówiono.

Jego serce kochające znalazło dostateczną ocenę u pięknej ongiś primadonny i kochanki.

Kupiła mu auto, dla niego zaczęła być chora, aby znaleźć pretekst do opuszczenia teatru, jego wpływ serdeczny skłonił ją do sprzedania ślicznego mieszkania, a wynajęcia dwóch pokoi tylko, przy ul. Moniuszki.

Udna para kochanków zaprzęta rzucić się w świat, zapomnąc o Warszawie, która ją szkalowała i nie przypominała do towarzysztwa.

Paszport ulgowy zagraniczny, trochę pakunków i w drogę... Sam V. prowadził auto. Droga do granicy wypadła znakomicie. Nagle przed granicą maszyną nieoczekiwanie stanęła.

— Co się stało, mój ty drogi? — zapytała kochanka.

— E, nie poważnego. Sta bouenne, zedź, przejdź się trochę, a ja naprawie uszkodzenie, zawołam cie, pocóż masz się nudzić?

Kochanka stała przez chwilę nad swym drogiem, lecz zniecierpliwiona trochę odeszła i skierowała się ku oddalonemu na padeset metrów laskowi.

V. co chwila patrzył za oddalającą się, gdy widział już tylko jej szarżeciasta postać, spokojnie zebrał porozkładane narzędzia, zakreślił korbą, wskoczył na siedzenie i bez puszczenia dymu pojechał.

Primadonna-kochanka długo w lasku oczekiwała na zawołanie V. Gdy wróciła na miejsce nie, prócz flustwych płam oliwy na białym piasku nie zauważyła.

V. pojechał, pojechał nie ponny miłości primadonny, jej poświęcenia: mieszkania, auta i teatru, ale zato obciążony na pięknym aucie gotówką, biżuterią i bagażem artystki.

Naprawdę, nie myła się ci, którzy mówią, że trudno jest poznać kobiety.

Świat wiedzy tajemnej.

CUDOWNE UZDROWIENIE.

Dzienniki nowojorskie donoszą o wypadku cudownego uzdrowienia przy pomocy modłów. Wypadek ten wywołał w Nowym Jorku i w całym Stanach Zjednoczonych nową sensację.

Pastor Robert Bel w kościele św. Pawła uzdrawiał przy pomocy modlitwy w obecności tłumu, złożonego z przedstawicieli wszelkich wyznań, nawet z ateistów. Pastor czynił znak krzyża nad każdym, który podszedł ku kazalnicy i mówił błagalnym tonem: „Jezu Chryste udróż to ciało”.

Do kościoła cisnęły się takie tłumy, których podniecenie historycznie wzrastało do tego stopnia, że pastor musiał zwrócić się ostatecznie do policji, aby swa własną osobę obronić od uduszenia w tłoku.

Modły pastora Bella w szeregu wypadków sprawiły cudowne skutki. Słoni wolały nagle: „Widzieli”, Glusi: „Słyszeli”. 50-letni Ludwik Monetti, który miał obie nogi sparaliżowane tak, iż musiano go z jego samochodu przenieść do kościoła, tak opuścił światynie, jako człowiek uzdrowiony. Niejaki Kaori Kimmel z Nowego Jorku, który przed dwoma laty oślepił na

oba oczy, odzyskał podczas nabożeństwa wzrok.

Po zakończonej ceremonii pastor Bella oświadczył: „Lecze tak, jak leczyli apostołowie. Uzdrowiam przez miłość bliźniego i ufność w Boga”.

PIANISTKA — MEDIUM.

Przed kilkunastu laty występowała w Niemczech z koncertami miss Nydia. Była to piękna blondyna, która jej mąż hypnotyzował, a następnie grała z zawiązanymi oczyma to, czego żywcem sobie nie publiczność. Zwykle wyśpiewano tytuły dzieł i kładziono kartkę na fortepianie, lub też na głowie artystki. Repertuar jej był nieograniczony: grała rzeczy zupeł-

nie nieznane, a nawet niedrukowane manuskrypty — wszystko iaknadiokładnie!

Gdy techniczne trudności były zbyt wielkie, wykonanie było trochę chwiejne, ale zawsze wierne. Eksperyment się nie udawał, jeżeli mąż artystki, Samson, nie widział przedtem nut. Być może, że on przenosił telegraficznie ogólny obraz dźwiękowy na medium. Możliwe jest również, że jego sugestyjna czynność była tylko wydobyciem na jaw własnych właściwości medium i zwracanie ich w danym kierunku. W ten sposób hipnoza, telepatia i jasnowidzenie brały równomierny udział w tym fenomenie.

PIĘKNĄ CERĘ!!

uzyska każda nawet piegowata twarz po zużyciu

CREMU
MACEDOIN „MOTOR”

BRAUN

Południowa 28
Specjalista chorób

skórnych i wener.

Przyjm.: 8—10 i pół

1-2. Panie 4—8

Dr. Józef Kłopot

Choroby uszu, nosa

gardła i chirurg.

Godziny przyjęcia: 12—1

od 4—7.

Piotrkowska 113.

JEAN FAYARD.

Profan na Olimpiadzie.

Mój przyjaciel, Lintere, postanowił zaznaczyć mi z emocjami sportowem, a w tym wypadku z pasami w białe nożna. Nadaremnie szukałem wykrętów, nic nie pomogło.

Zreszta (tak pomiędzy nami), miałem sam ochotę uirzenia tych niebawmich walk.

Pojechałem tedy do Buttes-Chaumont (przedmieście Paryża), gdzie Szwajcaria miała się zmierzyć z Czechosłowacją. Pojechałem oczywiście autobusem. Za nami siedziało dwóch młodzińców, sądząc z ogólnego wyglądu zapewne pomocników reienta. Jeden z nich rzekł:

— Rozumiesz chyba, mój kochany, że musiałem być przytem! Ponieważ miałem dużo pracy, więc siedziałem do drugiej północy i dziś jestem już o czwartej wolny. Jestem trochę znużony ale trudno. Więc myślisz, że czechosłowacy?

Zrozumiałem, że istnieje sfera zainteresowania, która była dotychczas dla mnie zamknięta.

Przedewszystkiem odkryłem na nowo Buttes-Chaumont. Jest to Paryż, ale Paryż trochę górzysty, nierówny, wybrany zapewne, by przypominać się szwajcarom. Widać stad wszystkie wieże Paryża, a ile to tego! Niktby nie uwierzył ile Paryż w dzisiejszych czasach ma jeszcze wież!

Tłum jest zdenerwowany.

Nadchodzi gracz.

Czerwona Szwajcaria i Czechosłowacja w paski.

Rozpoczyna się gra. Publiczność dzieli się natychmiast na dwa obozy, które zużytkowują swą energię na wydawanie głuchoch i zawziętych pomruków.

Większość jest po stronie szwajcarów, którzy wykazują dużą dozę temperamentu. Czechosłowacy grają oziębło.

Szwajcarzy nabierają animuszu i zaczynają wygrywać. Lintere tłumaczy mi, że jest to „shot” Abegglen.

Trubuny trzęsa się od okrzyków. Kapelusze leca w powietrze.

— Es ist gut gespielt Switzerland! — wołają ledni.

— Ja konek. Kręciwiralak jamdvarosia outoujou! (czy coś w tym rodzaju) wołają drudzy.

Mecz pozostał nierozstrzygnięty. Po dwóch dniach rzecz rozpoczyna się na nowo. I my też

przybywamy na nowo.

Zaczynam poznawać Abegglenę, ponieważ jest bardzo małego wzrostu, a towarzysze podstawiła mu ciagle nogę.

Szwajcaria wygrywa!

Po kilku dniach mecz włosko-szwajcarski.

— Zwycięstwo szwajcarów, to zwycięstwo siły nerwowej i zapachu nad czechosłowacką techniką i spokojem — mówi Lintere.

— Ci czesi — wtraca się jakiś czerwononogi — to kuglarze. Same sztuczki, jakieś subtelności! Szwajcarzy to morowe chłopy!

— Niech żyje Szwajcaria! — krzyczy jakiś pan.

Tłum się śmieje.

Dlaczego?

Rozpoczyna się mecz. Szwajcarzy grają po mistrzowsku, kolonia włoska zaczyna tracić humor. Podług mnie mecz ten jest nierozegrany. Ale sędzia myśli inaczej i szwajcarzy znów wygryli!

Powrót szwajcarów do szatni odbywa się z niebawmich tryumfem. Jakas młoda panienka, ładna i ładnie ubrana rzuca się nagle na szyję jednemu ze szwajcarów i całuje go namietnie. Potem odchodzi z uśmiechem szczęścia i ekstazy.

Zaczynam się dopytwać, jakby się zaisać do drużyny szwajcarskiej.

Zda się, że to dosyć trudna rzecz.

Powrót autobusem.

Z jednej strony lamentuję jakiś włos, a z drugiej żali się belgijszczyk, którego ojczyzna została sromotnie pobita przez szwedów.

Takie narodowe kataklizmy wywołują we mnie smutek. Ale że szwajcarskie zwycięstwo, to także zwycięstwo narodowe, więc się pocieszam.

W niedzielę jedziemy do Colombes, by asystować przy klasie narodowej francuzów.

Ale i Lintere pociesza mnie.

— Przeciwno urugwajczykom nie się nie da zrobić, mój kochany! — mówi z westchnieniem.

Droga jest dosyć długa, więc Lintere korzysta z tego, by się trochę poinformować:

— Odeź to jest ten Urugwaj? Nigdybym nie przypuszczał, że przybędą gracze kraju, o którym nikt nigdy nie słyszał.

— Myślę, że Urugwaj leży w południowej Ameryce. Tak przynajmniej widziałem na mapie.

— To zabawne. Nie przypuszczałem nigdy, że sa to narody cywilizowane ci wszyscy tam na południu Ameryki. Znam niektóre miasta, jak Valparaiso, czy

San Francisco, ale to przecież tylko przypadek! Myślę, że te miasta nie leżą w Urugwaju?

— Wczoraj jeszcze nie leżały. Ale w tych krajach wszystko się szybko zmienia.

— Dziwne boskie — wzdycha Lintere.

Występują francuzi i urugwajczycy.

Te nieznane diaby w jednej chwili położyły francuzów. Publiczność klaszcze, bo lubi dobrą grę, ale czynie niewien niesmak.

Wychodzim.

Dosyć tej niesmacznej zabawy.

Dokoła stadionu zatrzęsienie kawiarni, barów, restauracji i mleczarni.

Ale nikt tam nie wchodzi.

Wszyscy czekają na najrozczulniejszego urugwajczyka — murzyna, zwanego krótko: Negro. Gdy to minelo, gdy wszyscy się już dosyć nakrzyżdzili i naścisnęli w tłumie, rozpoczyna się atak na auta i autobusy.

A gdy nareszcie pedzim w kurawie i wrzasku szona parusia, Lintere słubie sobie święcie, że wieczorem wyobędzie skadciś Larousse'a i dowie się nareszcie skąd pochodzą ci urugwajczycy.

(Tłumaczyła Et.).